

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



ZE SKARBÓW NASZEJ PRZYRODY.

Franciszek Chłapowski.

Osobliwości przyrody poznańskiej.¹⁾ 1)

Pod nazwą pomników, w ścisłym znaczeniu tego słowa, rozumiemy utwory ręki ludzkiej, przypominające nam wielkie epoki, wielkie czyny lub wielkich mężów. Takimi pomnikami są piramidy egipskie, wieża kruszwicka²⁾, kurhany, posągi, świątynie i t. p.

Autor pracy (niemieckiej) o przyrodzie poznańskiej uważa za pomniki przyrody olbrzymie drzewa, głazy narzutowe (erratyczne) i t. p.

Nie są to jednak pomniki³⁾, gdyż z małymi wyjątkami nie przypominają żadnej, ściśle oznaczonej epoki, żadnych wielkich czynów i są ciągle wystawione na zniszczenie przez wiatry, burze, wylewy i inne zjawiska przyrody.

Autor głównie opisuje olbrzymie drzewa naszego kraju, które

zapewne nie dochodzą rozmiarów tych olbrzymów, jakie opisuje Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ (IV-ta księga¹⁾).

„Czy żyje Wielki Baublis, w którego ogromie,

³⁾ Mickiewicz, w „Panu Tadeuszu“, opisując olbrzymie drzewa (wspomniane wyżej w przedmowie), nazywa je pomnikami

„Pomniki nasze! ileż co rok was pożera,
Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera“.

¹⁾ Opracowane podług „Flugschrift zur Heimatkunde der Provinz Posen“. 1912.

²⁾ To też po polsku zjawiska te zwać należy raczej zabytkami a nie pomnikami (*Przyp. Red.*).

³⁾ Wieża kruszwicka, czyli tak zwana Mysia wieża została zapewne zbudowana przez Normanów, którzy w VIII i IX wieku grasowali w Europie. Gopło służyło im za port wewnętrzny — za zimowe leże. Szajnocha w swem dziele „Lechicki początek Polski“ nie utrzymywał, że szlachta Polska pochodzi od Normanów. (*Przyp. Tłum.*).



DOLINA BARYCZY NA POŁUDNIE OD KORONOWA.



NAJWIĘKSZY CIS W POZNAŃSKIM (W GORAJU, POW. SKWIERZYŃSKI).

Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym
domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za
stołem

„I tam w Ukrainie, czy się dotąd
wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brze-
gami Rosi
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cie-
niami,
Stu młodzieńców, sto panien szło w ta-
niec parami“.

Takich olbrzymów w Poznańskim zape-
wne nie napotkamy, ale mimo to warto jest
znać osobliwości swego kraju, i pod tym wzglę-
dem broszurka niemiecka ma swą zasługę i war-
to ją na język polski przełożyć. Tłumacz,
o ile możliwości trzyma się dosłownie tekstu nie-
mieckiego, opuszczając frazesy i zdania, nie ma-
jące związku z zabytkami przyrody, a w któ-
rych autor sławi wielkość swej germańskiej
ojczyzny.

Co uważać można za pomniki przyrody?

Pomnik jest oznaką zewnętrzną wspomnie-
nia o czemś, co dawniej istniało. Pewne oso-
bliwości i zabytki z dziedziny przyrody mogą
być też uważane za pomniki. Jeżeli dajmy
na to na pustej łące występują krzewy czar-
nej jagody lub jałowca, to są one pomnikami,
które łąkowa natura wystawiła byłemu cieni-
stemu borowi, a ów ogromny granitowy głaz,

który wysoko wystaje z podziemi, jest pomni-
kiem z tak ważnej epoki lodowcowej, której
cała Europa północna uległa.

Obecnie we wszystkich cywilizowanych
krajach otaczają opieką zabytki przyrody, by za-
chować je przed zagładą.

Nazwa „pomniki przyrody“ pierwszy raz zo-
stała użyta przez wielkiego naturalistę Hu-
boldta, który w r. 1819 wydał dzieło w języ-
ku francuskim pod tytułem „Les monuments de la Nature“. Przez te pomniki
uczony przyrodnik rozumiał głównie olbrzymie
drzewa. Niemiecka nazwa „Naturdenkmal“
pierwszy raz została użyta przez prof. Jent-
scha (1896); nazwa ta stała się popularną
dla ogółu dzięki dr. Konwentzowi, który
stoi na czele ruchu szerzącego zamiłowanie do
zabytków przyrody. Siedzibą towarzystwa jest
Berlin, ale jest ono rozgałęzione i na prowincyi.

W Prusiech nazywają się te stowarzysze-
nia komitetami i posiadają członków we wszy-
stkich niemal powiatach. Bawarya i Würtен-
bergia też posiadają podobne stowarzyszenia.
W W. Księstwie Poznańskim egzystuje ono
od marca 1911 r. i zostało ukonstytuowane na
życzenie ministra wyznań i oświaty publicznej.
Podług orzeczenia powyższego ministra, należy
uważać za pomniki przyrody nie tylko osobi-
wości florystyczne, faunistyczne i geologiczne,
ale też i piękne krajobrazy oraz niezwykle
ukształtowania ziemi. Wszystkimi tymi zaby-
tkami ma się opiekować Towarzystwo wyżej
wspomniane. Czyż np. nie jest do życze-
nia, by urocza dolina Baryczy pozostała nie-
zmienną na zawsze i by nie szeptono krajobra-
zów niegustownymi tablicami z napisami reklam
handlowych, sztyldami, które jadąc koleją spo-
strzeżę się na łąkach i pagórkach; ustawa prus-
ka (z d. 15/VII 1907) pozwala temu zapobiedz.

*

Z pośród rzadkich drzew należy przede-
wszystkiem wymienić cis; chodzi tu o cis
rosnący jako drzewo na swych siedzibach pier-
wotnych, nie zaś o krzewy cisowe, rosnące w par-
kach i o ogrodach. Dawniej gatunek ten spo-
tykano często w naszej okolicy, czego dowo-
dzą nazwy polskie wielu miejscowości (jak Cis,
Ciewica, Ciszkowo). a w niemieckich
okolicach: Iwenbusch, Ewenbusch i t. p.

Z ziemi wykopywano też nieraz pnie drze-
wa cisowego. Tak, np. niedaleko Wielunia
w moczarach leśnych wykopano ich 3 czy 4 for-
nalki; prawdopodobnie pozostało tam ich jeszcze
więcej. Z najmniejszego, bodaj jak ostrze szpilki
kawalka tego drzewa, rozpoznać można pod
mikroskopem ich cisową naturę.

Z większych okazów drzew cisowych, istnie-
ją, o ile dotąd wiadomo, w Księstwie, tylko 2

egzemplarze. Jeden znajduje się w Szmiglu na podwórzu gospodarskim, przy ulicy Dębowej, zwanej tak dlatego, że przed kilkudziesięciu laty stał tam wielki bór dębowy.

Jeszcze dawniej znany jest cis w Goraju, gdzie niedaleko dworu niegdyś ocieniał leżącą dziś w gruzach karczmę; co prawda obwód pnia jego wynosi tylko 2 metry. Jednakowoż mamy tu do czynienia z bardzo starym drzewem, pochodzącym z czasów, kiedy w tej okolicy nikt o plantacjach drzew zagranicznych nie myślał. Wiek tego drzewa ocenić można conajmniej na 400 lat, czego dowodzi liczba rocznych słoju. Dla obliczenia takiego poświęcono i ścięto stary konar; słoje drzewne są bardzo cienkie, cieńsze jeszcze niż u sosny. Tem się tłumaczy, że cis mimo sędziwego wieku mieć może tylko 2 metry obwodu. Na lepszej glebie zresztą mógłby być i grubszy. Zwróćmy np. uwagę na owe dęby, zwane „dębami pokoju“, których tyle zasadzono z r. 1871 w różnych miejscowościach kraju. Jakżeż się między sobą różnią rozmiarami te rówieśniki. Ciekawemby było porównać obwód tych rozmaitych drzew pamiątkowych na wysokości metra od ziemi, jak również zestawzić wysokość każdego z tych pomników.

Cis ma własności trujące, i to nietylko jego sok drzewny, ale też i owoce; słodko-kwaskowaty smak ich i kolor czerwony przywabiają ptaki, które roznoszą twarde nasiona i przyczyniają się do rozmnażania się tego rzadkiego gatunku drzewa — dzieje się to jednak tylko w jednej okolicy, mianowicie w powiecie grodziskim, gdzie widzieć można cisy, wyrastające bez współdziałania ręki ludzkiej. Pnie tych drzewek mają jeszcze bardzo małe rozmiary a wysokość ich dosięga $4\frac{1}{2}$ metra. Rosną one w nadleśnictwie Lasnówka.

Pozostaje niewyjaśnioną tajemnicą, dlaczego rozmnażanie się cisów w kraju naszym zdarza się jedynie wyjątkowo, w niektórych tylko miejscowościach.

Drugim rzadkiem drzewem jest grusza mą-



LIŚĆ GRUSZY MĄCZNEJ.

czna. Wprawdzie w lasach gatunku tego nie znaleziono wcale, ale gdzieś spotyka się je przy drogach. Liść jego jest łatwy do rozpoznania, bo na spodniej stronie jest białokunerowaty. Gatunek ten, jak to wykazuje jego kwiat biały, jest pokrewny z gruszą głogową, która również należy do osobliwości. Kwiaty ma białe, owoce zaś brunatne, mające postać pośrednią pomiędzy gruszą a jagodą.

Nim się jednak kto skusi na skosztowanie tych owoców, niechaj zapamięta botaniczną nazwę tego drzewa, która brzmi po łacinie, *Pirus torminalis*, po polsku zaś bereka.

Z liści najbliższej możnaby go porównać z białym amerykańskim głogiem, który teraz nierzadko sadzą. Amerykański ten krzew zwą też głogiem szkarłatnym ze względu na kolor owoców.

Najpiękniejsze te głogi znajdują się w powiecie gostyńskim; rosną na otwartym polu w pobliżu miejscowości Nieparty i Dembiny. Pień ma $2\frac{1}{2}$ metra obwodu, a wysokość dochodzi do 16 metrów.

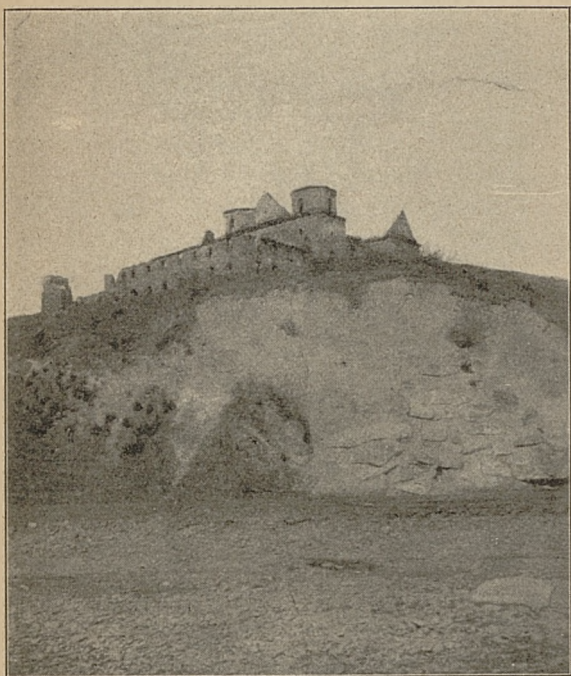
Las zwany „na okopie“ sięgał niedawno aż do tego miejsca. Nietylko jednak rzadkość tego gatunku ale też i grubość pnia i potężne rozwinięcie gałęzi wynosi go do godności pomnika przyrody.

C. D. N.



Włodzimierz Antoniewicz.

STARY ZAGÓRZ.



RUINY KLASZTORU W STARYM ZAGÓRZU, POW. SANOCKI.

Wspominając o Starym Zagórz, ma się na myśli dwa główne zabytki: cudowny obraz w miejscowym kościełku i ruiny klasztoru karmelitów. Pierwszy, malowany na desce przedstawia „Zwiastowanie N. P. Maryi“, którego czas powstania oznaczał prof. Maryan Sokółowski¹⁾ na XVI w., chociaż tradycja podaje XIV stulecie jako czas umieszczenia tu owego obrazu. Wśród rupieci kościelnych znaleźliśmy ciekawy rękopis, traktujący o tym utworze wschodniego pędzla; rękopis ten pochodzi prawdopodobnie z XVIII w.; dla osobliwej treści przytaczamy w go całości:

„Opisanie cudownego miejsca y obrazu Najświętszej Panny Maryi zagórskiej, Królowi Kazimierzowi Wielkiemu idącemu na przeciw Rusi zwiawionego Roku Zbawienia naszego 1343.

Na ten czas, kiedy się wyprawował Kazimierz Król Wielki Polski, aby rekuperował Xięstwo Wielkie, rebellizowane po tryumfie znacznym Bolesława Chrobrego, kiedy kolumny żelazne na Dnieprze wbił y trąby misterną robotą, aby zawsze dźwięk swoy wydawały, zawiesił, zaczym gdy traktem król Kazimierz Wielki

idąc ku Lwowu spracowany stanął obozem, kędy teraz dolina y Zagorze iest w Sanockiem powiecie, iako o tym Kadlubek stary, Wapowski, Bielski, Kronikarze Polscy piszą, a mianowicie Sarnowski szeroco o tym w analogiach swoich Lib. 7 opisuje temi słowy: „Itaque cum esset Rex lassatus animoque angeretur sopore eum invadente Divinitus consolatur a quodam qui speciem Beatissimae Virginis MARIAE referebat in somno ei apparente, qui et sponsionem sertam Victoriæ faciebat, si non desisteret aedificare Ecclesiam Sanctissimae Dei-Parvae Virginis ni loco per somnum ostenso prope Oslawiam in Nomine Assumptionis Eius et praeceptit Regi, ut non desisteret persequi hostem“. Nazaiutrz Król Kazimierz Wielki, z wielkim weselem serca swego wstawszy, opowiada Wodzom, Regimentarzom y Dignitarzom sen on y widzenie osoby oney, która mu reprezentowała obraz Błogosławionej Panny, ten który tu na tym miejscu Świętym zostawa, przy którym y znaczne zwycięstwo obiecowala y rekuperacyą oraz wszystkiego Xięstwa Ruskiego, przez rebellię po zwycięstwie y podbiciu Bolesława Chrobrego odciętego; zaczym Król, nabożeństwa wysłuchawszy, lustruje miejsca pokazane, gdzie się udaie w dębinę ku Oslawie rzece; aliści one miejsca, które widział we śnie, obacza, z konia z rewerencyą zsiada y umilknąwszy modli się, ślubując Panu Bogu y Błogosławionej Pannie założyć kościołek na Imię w Niebowzięcia Iey; gdzie niedaleko tego miejsca znajduje Pustelnika Ritus Graeci Basilitanæ Religionis, gdzie y Cerkiew z drugą stroną Oslawy pod górą ku wsi Woli Postołowej obacza, którą to on Pustelnik rękami swemi budował, któremu Król za omen, którym mu znaczne zwycięstwo obiecował, przy zakładzie miejsca wielkie podarunki ofiarował; tam niedaleko tego miejsca mieszkał nieiaki królik Podgórski, gdzie teraz Podsobień zamek, któremu Król w potym wkrótce zbudował, ale bardzo małą, nie tak, jak teraz. To zordynowawszy ciągnie Król ku Lwowu, gdzie się szczęśliwie iego ekspedycya powodzi, bo dostae Lwowa, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Brześcia, Błza, Chelma, Lubara, Kijowa, Pereiasławia y innych miast, które są na Podolu, w Białej Rusi, Ukrainie y za Dniestrem; gdy tedy Król Lwowa dostał, pisze o tym Sarnowski w Analogiach swoich Kroniki Polskiej tak: „Cum Leopolim Casimirus in suam potestatem subegisset ingens vis auri et ar-

¹⁾ „Sprawozdania komisji do badań hist. sztuki w Polsce“, Kraków, t. VI, str. II.

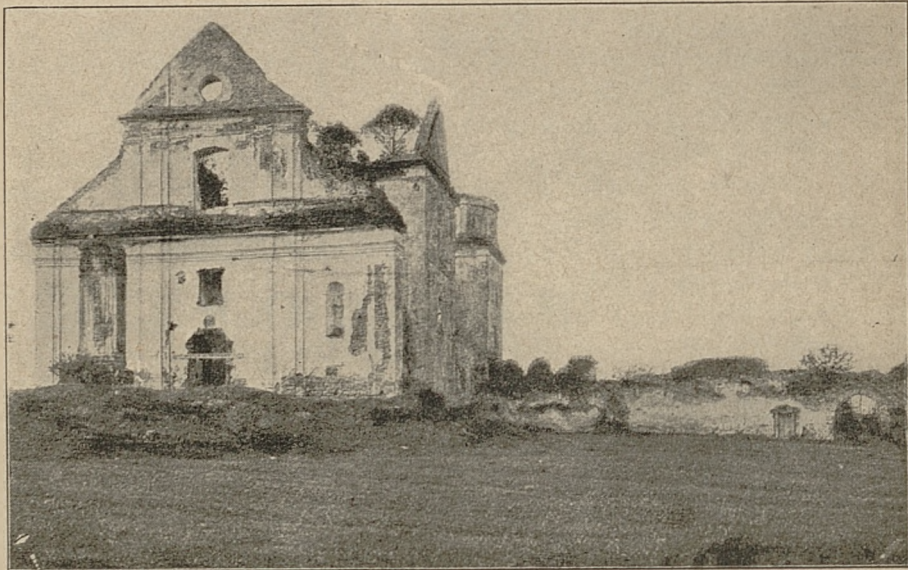
genti gemmarum (quod gasa Russorum habebat) inventa est, niqua insignes erant duae cruces aureae plurimis et pretiosis gemmis, lapidibus distinctie adhae et imago Virginis Mariae, quam in somnis se vidisse recordatus est, in tabula lignea depicta Annuntiationis Eius, et dno Diademata cum stella et veste auro gemisq̄ vigen- de“! Gdzie on obraz, który tu zostawa na tym miejscu Świętym w Zagórzcu, po zwycięstwie swym wracając się z Rusi odbyła z przywilegiem napisany na pergaminie, który ieszcze w Konsystorzu Biskupstwa Przemyskiego zostawa, w którym spenduje Król to święte miejsce ozdobić, ale tego nie mógł dokonać, gdyż miał co z nieprzyjaciółmi inszemi czynić, y fata życia ostatnie w tym mu przeszkodziły“.

Obecnie ów „cudowny obraz“ znajduje się w Krakowie; pod kierownictwem prof. J. Mycielskiego malarze specjaliści zdejmują farby, nieumiejętnie w r. 1878 nałożone przez jakiegoś domorośłego „odnawiacza antyków“; z pod farb tych ukazują się świeże o pięknym tonie kolory i delikatne zarysy figur, świadczące o zdolnościach i wyrobieniu artystycznym twórcy. Kto nim był i kiedy „Zwiastowanie N. P. Maryi“ wyszło z pod jego pędzla — tego wobec braku wszelkich danych oznaczyć nie można, pewnem jest jednak, iż powstało ono na Wschodzie pod silnym wpływem szkoły bizantyjskiej, o czem świadczy charakterystyczne przedstawienie Matki Boskiej i Anioła, oraz głągolicki napis na przepasce szaty.

Dzisiejszy kościółek, wewnątrz zniszczony przez pożar, ufundowany wraz z prebendą w r. 1697 przez Piotra Głoskiego, probosza pobliskiej wsi Porąża, bywa licznie odwiedzany przez pobożnych okolicznych włościan, zawdzięczając to istnemu skarbowi-obrazowi, cieszącemu się powszechnem uznaniem cudotwórczej siły.

Nieopodal kościoła na wyniosłem wzgórzcu, z jednej tyłkostrony łatwo dostępnem, z trzech zaś urwistem, oblanem szemrzącymi nurtami wartkiej rzeki, wznoszą się okazałe ruiny klasztoru karmelitów, zbudowanego w stylu renesansowym na początku XVIII stulecia przez właściciela dóbr tamtejszych,

Jana Adama Stadnickiego, wojewodę wołyńskiego. Już z natury obronny, wzmocniony ieszcze grubymi murami stanowił typ groduklasztoru łacińskiego na Rusi, podobny do znanych nam konwentów bernardyńskich w Leżajsku i Sokalu, które w razie potrzeby służyły również za fortece, gromadzące w chwili niebezpieczeństwa ludność okoliczną i chroniące dobytek jej w prowizorycznych drewnianych „horodniach“. Obrona wszakże była też podporządkowana celom mieszkania klasztornego i kościelnym. Do pomocy wojskowej mnichom, w części zaś dla wykonywania usług w utrzymanym przez zakon szpitalu, dodał fundator w roku 1713 uposażenie na utrzymanie dwunastu żołnierzy inwalidów, pochodzących ze stanu szlacheckiego. Nie przyszło jednak wcale do walki z żadnym wrogiem, który nie nie zawadzał o te dalekie, podkarpackie strony. Zniszczał też klasztor nie od kul nieprzyjacielskich, ale od pożogi, na której pastwę wydał w roku 1831 ów przybytek Boży zawistny braciszek zakonny. Spłonął wówczas klasztor i kościół niemal całkiem, zostawiając po sobie jeno szkielet, zwolna rozsypujący się w gruzy. Sterczą dziś resztki murów, opasujące rozległy sad z drzewami południowemi, względnie dobrze zachowany kościół z wieżami i rozpiętymi pod nawą dwoma łukami grożącymi upadkiem, oraz ruiny cel, obrosłe pnączami. Zdaleka przedstawiają te ruiny malowniczy widok, zwłaszcza, że nie można dostrzedz gruzu, zasypującego gipsatury, i kości przez psy rozwłóczonych, a na tle otaczających lasów rysują się kształtne zarysy okazałej ongi budowli. Z blizka zaś tchną opustoszałe, odrapane mury ponurym smutkiem i zda się szepcą o minionych dniach lepszego bytu.



RUINY KLASZTORU W ZAGÓRZCU, W POW. SANOCKI.

Obchód Trzech Króli na Ukrainie.

Wieczór ten (przeddzień Trzech Króli) ma nazwę „Hołodnoj Kuti“ (dosł. Głodna Wigilia). Cały ten dzień ukraińcy poszczą, wieczorem zaś urządzają wigilijną ucztę (wieczerzę) bez mięsnych potraw. Kobiety gotują „kutię“ (kasza jęczmienna lub obwarzana pszenna z miodem i makiem) i stawiają ją „na pokucie“ na sianie, zasłanem obrusem, w dużym garnku. Niosąc „kutię“, wydają potrzykroć dźwięki głosowe, podobne do wołania kwoczki: „kwo — kwo — kwo“. Siano chowa potem gospodyni troskliwie, podkładając w miarę potrzeby pod kwoczkę. Ma to wpływać dodatnio na „nośność“ kur.

W czasie wieczerzy wigilijnej dziewczyna pierwszy kęs kładzie sobie za przepaskę („za pazuchę“ koszuli) i z tem idzie na spoczynek. Jeśli we śnie ukaże się jej obcy mężczyzna, prosząc o jadło — ten będzie jej mężem przez los naznaczonym.

Nazajutrz idą z flaszkami na „Jordan“ — obrządek święcenia wody. Dzieje się to zwykle na rzeczulce lub sadzawce wiejskiej — rąbią dwa przereble, z lodu i śniegu stawiają

piękny czerwony krzyż (zafarbowany kwasem z buraków ćwikłowych). Po skończonym obrządku święcenia nabierają święconej wody do flaszek, z których następnie, powróciwszy do swej zagrody, wlewają część do misy glinianej; biorą cząstkę „ładanu“ (kadzidło cerkiewne), pieróg, kredę i kropidło i obchodzą całą sadybę, kreśląc kredą krzyże i kropiąc wodą.

Wieczorem siadają do wieczerzy (cały dzień poszczą), przemawiając: „Mrozie, mrozie, pójdź z nami wieczerzać!“ („Moroze, moroze, idy z nami weczerać“) Gospodarz bierze pierwszą łyżkę „kuti“ i podrzuca nagłym ruchem do góry — pod pułap; poczem toż samo powtarza z „uzwarem“ (wywar z suszonych owoców). Następnie dopiero jedzą.

Po wieczerzy kładą wszyscy łyżki do jednej misy, przewracając je wgłębieniem na dół. Nazajutrz z rana oglądają i jeśli znajdą czyjąkolwiek łyżkę odwróconą na opak, temu wróżą rychłą śmierć w tym roku.

Powyższy zwyczaj widziany był przezemnie w Medwinie (Kaniowszczyzna).



Franciszek Gawełek.

POD H O R C E.

Dzień był wyjątkowo pogodny. Słońce rzuciło na chwilę swą czarną maskę, aby się pokazać weselsze, aby nam niejako uprzyjemnić zamierzoną wycieczkę do Podhorzec. Cała natura, która z taką tęsknotą wyczekiwała ciepła i światła, odżyła wówczas jakimś dziwnym blaskiem, jakąś świeżością powiała. Czuję w sercu otuchę, a radość tem większa mię

ogarniała, gdym, wyjechawszy za Sassów, zdążył już pustym, bitym gościńcem w stronę Podhorzec.

Mój Boże, ileż to wspomnień historycznych, ileż tryumfów i sławy poczęło mi się snuć po głowie. Tędy chodzili Żółkiewscy i Sobiescy, tu odgrywały się liczne boje z Turkami i Tatarami, tu ziemia, krwią przesiąknięta, była świad-

kiem świętych zwycięstw, cieszyła się wraz ze swymi dziedzicami ich męstwem, dzieliła z nimi laury. A gdy wojna ustała, chętnie wydawała, co mogła, żywiła tysiące ludzi, aby tem silniejsi mogli w najbliższej potrzebie stawić czoło najeźdcom... Dzisiaj prawowici dziedzice śpią snem twardym w jej łonie, a ona marzy o ich bojach. Piękna jest ta ziemia...

Poczynając od Sassowa, lichej, żydowskiej miejsciny, pełnej wyboi i rowów na rynku, nigdy zdaje się nie zmiataanej, ciemnej, gdy księżyc nie dopisze, bo nie posiadającej ani jednej latarni, ale szczycącej się mianem rezydencyi cudownego rabina, jedzie się wciąż pod górę aż do samych Podhorzec. Okolica nader uroczą, malowniczą, stoki gór pokryte lasami; u podnóża górzystych wzniesień widać zwykle duże, głębokie rowy, co mimowoli naprowadza na przypuszczenie, że istniały tam ongi jakieś okopy, obozowiska, przypomina krwawe boje. Co chwila masz wrażenie, jakby się wychylał z tych gąszczy leśnych nieprzyjaciel, jakby czatował na ciebie z licznym wojskiem. Wiatr, kołyszając wierzchołkami drzew, sprawia jakieś dziwne, nieopisane uczucie. W pamięci stają postacie wielkich bohaterów... poczynasz żyć, marzyć, poczynasz im się przyglądać i cieszyć się, że zwycięstwo w ich ręku pewne... Słyszysz dźwięk surm bojowych, warczenie bębnow, szczęk szabel, tętent koni... cała historia odżywa nagle ...i żyjesz, żyjesz szumnie i górnio... snujesz złotą nić marzeń, tryumfów i chwały...

Aż oto nagle budzi się straszna rzeczywistość: to dźwięk dzwonka sterczącego u dyszla żydowskiego pojazdu, wymijającego cię w drodze. Żyd-furman wiezie gdzieś rabina-cudotwórcę do nieszczęśliwych współwyznawców, wyczekujących cudu... Rzeczywistość mówi...

Takich furmanek żydowskich spotkać tu można dużo, począwszy już od samego Złoczowa. Synowie Judy skrzętnie uwijają się tu w tych stronach, przewożąc gości i turystów, czasami po kilku w jednej lichej landarze. To jedno z głównych źródeł ich dochodu. Prócz tego trudnią się w tych stronach drobnym handlem i przemysłem (wyrabiają szaty liturgiczne dla współwyznawców). Miasteczko Sassów jest całkowicie przez nich opanowane.

Lasy podhorskie zajmują spory szmat ziemi (około 3000 morg.), ciągnąc się łukiem od strony połud.-wschodniej i połud.-zachodniej, aż pod same Podhorce. Są one przeważnie bukowe. Często spotyka się tu olbrzymie lipy, zacieniające przeważnie resztki szańców i okopów. Rzecz charakterystyczna, że miejscowe podania, i to tylko w pow. złoczowskim, ale i w żółkiewskim, przypisują Sobieskiemu szczególne zamiłowanie do uprawy tych drzew;

gdzie tylko spotkasz więcej lip, tam napewno usłyszysz: „król Jan własnoręcznie je sadził. Dobry to był gospodarz...” Ogarnia cię zaduma, przenosisz się myślą w tamte czasy...

W odległości ok. 2 klm. od Podhorzec, od strony południowej, sterczy wysokie wzgórze, pokryte olbrzymiami lipami. Dziwny ma wygląd. Jedna część wzgórza sterczy jakby strażnica, a na niej stał do niedawna wysoki krzyż. Miejscowe podanie niesie, jakoby tu kiedyś istniała cerkiew, lecz że za grzechy mieszkańców zapadła się w ziemię w dzień Zwiastowania N. Panny Maryi. Dalsza część wzgórza, otoczona wałem i rowami, tworzy dość regularny czworobok i znów naprowadza na przypuszczenie, że istniało tu niegdyś obronne okopowisko. Stronę północną tworzy olbrzymi stok, po którym z trudem można zejść w dół.

Zbliżamy się w końcu do celu podróży. Zdała widnieją Podhorce, na pierwszy plan wysuwa się kościół.

Podhorce¹⁾, wieś w powiecie złoczowskim, w Galicyi wschodniej, 17 klm. na północny wschód od Złoczowa, 8 klm. od Oleska, około 17 klm. od Brodów. Na północ od Podhorzec leży Podobocz, na zachód Hucisko Oleskie, Olesko, Chwałstów i Zahorce, na południe Czechy i Kadłubiska, na wschód Jasionów i Majdan. Północna część wsi leży w dorzeczu Dniepru za pośrednictwem Łahodowa, albo Łahodówki, dopływu Styru (zlewisko morza Czarnego); południowa w dorzeczu Wisły za pośrednictwem jednego z ramion Bużka Oleskiego, dopływu Bugu. Ramię to powstaje u stóp wzgórza na t. zw. Pleśniku, obok monasteru bazylikańskiego, a płynie wąską doliną wzdłuż gościńca złoczowskiego, w kierunku południowo-wschodnim do Huciska Oleskiego, gdzie się łączy z ramieniem, nadpływającym od północnego zachodu z pod stóp wzgórza Olesko. Środkiem wsi prawie wije się główny dział wodny europejski. Tworzy go część pasma Woroniaków, wznosząca się do 403 m. nad poziom morza. Zabudowania wiejskie leżą częścią na szczycie góry (399 m.), tworzącej obszerne płaskowzgórze, częścią na północnym jej stoku. Na krawędzi północnej stoku płaskowzgórza leży zamek, a naprzeciw niego w stronie południowej kościół. W odległości 2 klm. na połud.-wschód od wsi wznosi się wśród lasów murowana cerkiew i monaster bazylianów, otoczony z 3 stron wyższymi wzgórzami, a zwany pospolicie „monasterem podhoreckim na Pleśniku“. Części wsi jest kilka, jak: Lasowiki, Monasterek, Na Klasztorzem, Na Białej, Pleśniko, Zwierzyniec, Zatrudy al. Stawki. Mieszkańcy szczytu góry

¹⁾ Zob. Słownik geograficzny.



KOŚCIÓŁ W PODHORCACH. POW. ZŁOCZOWSKI.

fol. St. Wajnas.

różnią się pod pewnym względem od mieszkańców stoku. Pierwsi są przeważnie obrządku rzymsko-katolickiego, mówią i uczą się po polsku, ubierają się więcej po miejsku i trudnią się przeważnie rzemiosłem; drudzy, t. zw. „sielanie“, wyznają obrządek grecki, uczą się po rusku, noszą jeszcze chętnie dawne, ruskie stroje (spodnie z białego, własnego wyrobu płótna, koszule długie aż do kolan z takiegoż materiału, wypuszczone na wierzch, przepasane skórzanym paskiem, związane pod szyją wstążką, lub zapinane na guzik, na głowie wysoka barania czapka z czarnego barana). Zajmują się głównie uprawą roli. Wieś zbudowana po obu stronach gościńca; chaty niskie, przeważnie o jednej izbie, z komorą; stajnia i reszta zabudowań znajduje się zazwyczaj w tyle za chatą; czasem stajnia przytyka do komory. Okna bywają małe, o dwóch skrzydłach; dach kryty słomą. Na dachu sterczą „koziołki“, przytrzymujące kalenicę. Ściany zwyczajnie malowane wapnem. Zresztą chaty nie przedstawiają jakiegoś szczególnego typu. Przed domem bywa często ogródek kwiatowy.

Pierwszym pomnikiem, jaki nas uderza po wjeździe do wsi, to kościół parafialny, a raczej kaplica pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża św., fundacji Wacława i Anny z Lubomirskich Rzewuskich, założony 1756, a ukończony 1763 roku. Zbudowany z ciosowego kamienia i przez miejscowych robotników, wykonany został podług planów Wacława Rzewuskiego; stoi wśród

drzew, mały, ale nader ozdobny. Całość w kształcie beczki, (przypomina kościół św. Piotra w Rzymie) przedstawia się nazewnątrż bardzo imponująco. Wystawę główną zdobią dwa szeregi olbrzymich kolumn z kamienia ciosowego, o średnicy około $1\frac{1}{2}$ m., zakończonych głowicami korynckimi, zdobnemi w liście akantu. 8 kolumn stanowi rząd pierwszy, 6 tylnych dopełniając wspaniałej całości—rząd drugi. Po bokach także półkolumny, przylegając do ścian, podpierają mury. Nad kolumnami wznosi się belkowanie o frontonie trójkątnym, na attyce zaś stoi 8 świętych patronów rodziny Rzewuskich. Okna półokrągłe. U wejścia do świątyni wykuty w progu kamiennym napis składający się z następujących liter: W. W. K. H. P. K. F. F. R. P. 1763. Wewnętrzną ozdobę kościoła wykonali artyści polscy: Smuglewicz i Czechowicz. Zwłaszcza ten ostatni bardzo dużo pozostawił po sobie dzieł w Podhorcach, przemieszkując stale na zamku od roku 1762. W głównym ołtarzu znajduje się obraz, przedstawiający św. Józefa i Podwyższenie Krzyża św., dzieło prawdopodobnie Czechowicza. Sklepienie beczkowe zdobne jest w malowane wazony z kwiatami, podobnie malowane ściany. Wnętrze kościoła to wnętrze walca, czyli bębna. Z ciekawych zabytków wspomnieć należy starą okrągłą balustradę drewnianą i chrzcielnicę. Zamiast wieży wznosi się na skrzyżowaniu kolumna, jak to zwykle bywa w renesansie. Do dziś znajdują się w archiwum podhoreckim kosztorysy i rachunki tej budowy, prowadzonej przez samego fundatora.

Przepięknie przedstawia się kościół od strony zamku, oddzielony od niego dziedzińcem i gościńcem.

Zanim przejdziemy do zamku, któremu poświęcimy więcej nieco miejsca, musimy się wprzód jeszcze zająć cerkwią drewnianą pod wezwaniem św. Michała.

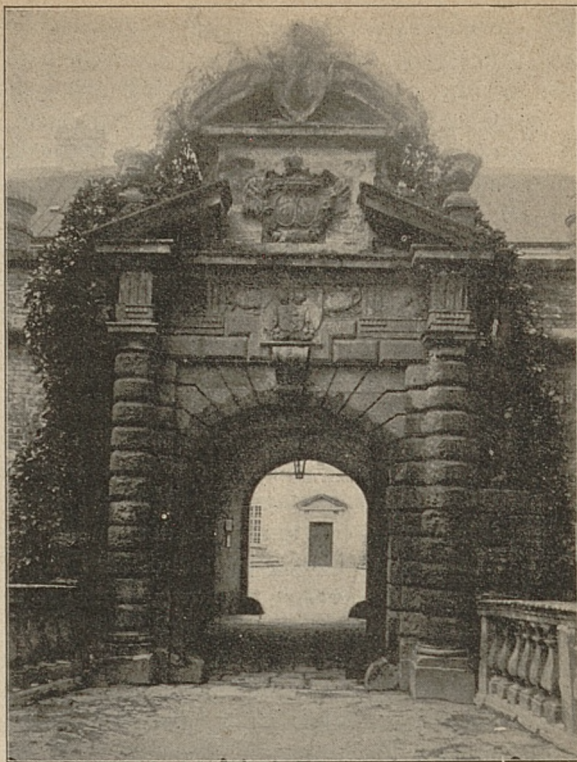
Założenie monasteru przypisują księżnej Helenie, córce Wszewołoda, ks. bełckiego, a żonie Kazimierza Sprawiedliwego. Miała ona ok. r. 1180 zbudować cerkiew Przemienienia Pańskiego i osadzić przy niej bazylianów. Monaster ten zburzyli Tatarzy wraz ze starożytnym Pleśnikiem w 1241 r.; ocalała tylko cerkiew drewniana w lesie, przy której przebywali czasami mnisi wędrowni. Wieść niesie, że około 1583 starzec niejaki Szymon, rodem z Białego Kamienia, po odbytej podróży do góry Athos, gdzie został mnichem, osiadł przy dawnej cerkwi na Pleśniku, i przeżywszy tu 42 lata, umarł 23 września 1625 r., przeznaczając całe swe mienie na budowę nowej cerkwi. W roku 1659 przybył tu o. Eliasz Hostysławski z Sazontym Łomikowskim, dyakonem ze Skitu Maniawskiego, a otrzymawszy pozwolenie Stanisława Koniec-

polskiego, starosty dońskiego, wznosił klasztor i cerkiew¹⁾. Dnia 10 grudnia 1663 r. potwierdził Gedeon Stopolk, biskup łucki i ostrogski, o. Eliasza na przełożeniu i wydał ustawy dla monasteru. R. 1666 po śmierci Eliasza objął rządy Jow, po nim Joil, Baczyński, Wyszobrawka i t. d. Za Atanazego Bereza Doroszenko zburzył monaster 1675 i rozpedził mnichów; 1676 r. znowu mnisi powrócili, a 1687, dnia 15 października, Jan III Sobieski zatwierdził przywilej Konięcpolskiego, pozwalając odrestaurować monaster i ufundować trzecią cerkiew pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. R. 1692 stanęły dwie nowe cerkwie.

Za staraniem bazylianów, przy poparciu Jakuba Sobieskiego stanęła obszerna cerkiew w stylu odrodzenia, z kopułą pośrodku. R. 1780 wybudował ihumen Anatoli Wodziński jednopiętrowe skrzydło monasteru przy cerkwi. Roku 1785 rząd austriacki chciał skasować klasztor, lecz dzięki zabiegom dziekana łoczowskiego odstąpiono od tego zamiaru, Dziś klasztor zubożał bardzo.

Po obu stronach carskich wrót widać napisy łacińskie. Jeden fundacyi ks. Heleny, drugi O. Łomikowskiego, za którego staraniem powstała cerkiew. Na ścianach wiszą portrety Karola Radziwiłła, Wacława Rzewuskiego i małżonki jego Anny, Jana Sobieskiego i Stanisława Konięcpolskiego; przechowują także portret Petroniusza Łomikowskiego. Nad drzwiami fantazyjne wyobrażenie ks. Heleny. W podziemiach mają się znajdować ciała rycerzy, poległych podczas napadów tatarskich w obronie monasteru. Na uwagę zasługuje niewielki księgozbiorek klasztorny, mieszczący w sobie kilka cennych zabytków.

U stóp zamku ścięła się ku północy nieprzejrzana równina doliny Styru. Przed zamkiem rozciąga się wspaniały ogród, a w nim zasługują na uwagę przepiękne aleje lipowe, których drzewa dosięgają wieku ponad 300 lat. Zamek, dwupiętrowy budynek w późniejszym stylu odrodzenia, tworzy prostokąt o 2 bocznych pawilonach. Dach, pokryty niegdyś cegłą, obecnie jest blaszany i polakierowany. Boczne pawilony o stromych dachach zakończone trzonami, z których występują figury, trzymając globy. Obramienia okien są naprzemian o łukowych i trójkątnych obdasznicach; między oknami są pilastry, a wszelkie narożniki są brązowe. Część środkowa występuje jako pół sześcioboku, tworzy przepiętże, użyte na kaplicę zamkową, i jest ozdobiona starym obrazem i zegarem słonecznym. Obmurowanie forteczne wykonane z ciosu. W murze tym jest pomie-



fol. St. Wojnas.

GLÓWA BRAMA ZAMKOWA W PODHORCACH.

szczona główna brama, przy której był niegdyś most. Obecnie pozostały z niego tylko resztki balustrady kamiennej; rów dawny tuż przed bramą zasypano zupełnie. Brama wjazdowa wykonana z kamienia w stylu odrodzenia, ozdobiona po bokach półkolumnami, jest przesklepiona płaskim łukiem. Wierzch zdobi korona z pogonią na tarczy (herb Sanguszków), powyżej nad tem widnieją herby dawnych właścicieli („Pobóg“ Konięcpolskich, „Krzywda“ i „Śreniawa“ Rzewuskich i Lubomirskich). Filary rzeźbione z piaskowca. Dzikię wino, pnąc się po murze, nadaje całości wygląd niezwykły, otacza ją jakby jakąś tajemnicą. Przed bramą w ogrodzie poustawiane posągi, słupy, głowice ich i inne odłamy, przeważnie wykonane z piaskowca, służące niegdyś do ozdobienia tarasów. Zaraz za bramą, w obszernej sieni, uderza nas duży, nie funkcjonujący już dzisiaj zegar o bardzo prostym mechanizmie: tworzy go 6 kół, umieszczonych na dwóch drewnianych walcach, 2 dzwony do wybijania godzin i łańcuch z ciężarkami, 115 m. długi. Nad zegarem umieszczony napis:

„Gdy Król Jan III Sobieski pod
Wiedniem
Odpierał tureckie lawiny,
Zegar ten na wieży zamkowej
Wskazywał szczęścia i chwały godziny“.

¹⁾ Zob. Dniestrzanekę 1841, 51.

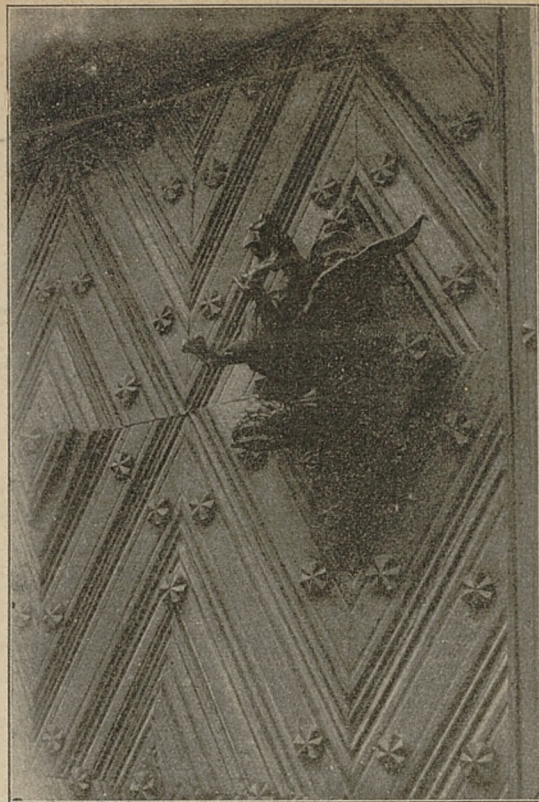
Zegar ten, jak z tego widać, wzniesiony

był dawniej na wieży, później atoli został stamtąd usunięty i obecnie wyznaczono mu miejsce nie bardzo poczesne... Dzisiaj jest już tylko nieużytecznym gratem...

Prócz zegaru znajdują się tu jeszcze dwa małe moździerze.

Z sieni wchodzimy na czworoboczny dziedziniec, wyłożony dużymi płytami kamiennymi. Na prawo zwraca naszą uwagę staroświecka, studnia 36 m. głęboka, z której wodę wydobywa się za pomocą kołowrota. Opowiadają, że dawniej koło poruszał niedźwiedź łapami, wyręczając tym sposobem ludzi w ciężkiej pracy. Na lewo prowadzą schody do dużej szklanej werandy na pierwszym piętrze. Dokola dziedzińca wznoszą się budowle parterowe, sklepione, pokryte zamiast dachem, otwartym tarasem, wyłożonym płytami. Trzy ramiona tego tarasu, tworząc podkowę, schodzą się z loggiami zamku, do których prowadzą z dziedzińca szerokie otwarte schody. Tak balustradę schodów, jak i balkony na tarasach wykonano w ostatnich czasach z piaskowca. Obszerne tarasy nad głębokimi okopami, dziś prawie zupełnie zarosłymi chwastem, mają po rogach strażnicze wieżyczki, tak zwane blanki¹⁾.

Do ubikacji parterowych prowadzą bardzo pięknie wykonane drzwi, nowszej roboty, z



fol. St. Wojuas.

GRYF NA DRZWIACH ZAMKOWYCH (KOLATKA)
W PODHORECACH.

starą kolatką wenecką, przedstawiającą gryfa. Nad drzwiami widnieją herby: Janina i Krzywda, oraz napis: Quo via virtutis.

¹⁾ Zob. Słownik geograficzny.



Al. Janowski.

LISTY Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

VI. Sprawozdanie kwartalne.

Dziś upływa właśnie trzy miesiące, gdy wylądowałem w porcie Hoboken i stanąłem na bruku nowojorskim. Trzy miesiące żalu i tęsknoty za krajem. Trzy miesiące aklimatyzowania się wśród naszej emigracji.

Skłamałbym ciężko, nazywając ten czas „najpiękniejszą dobą mojego życia“, przeciwnie, osobiście muszę to nazwać dobą smutku i żalu. Są widać dusze tak związane z ziemią rodzin-

ną, że dłuższa rozłąka z nią zatrzuwa im życie i odbiera chęć do pracy. Skorzystałem tu jednak bardzo wiele: zwiedziłem Nowy-York, Filadelfię, Baltimore, Washington, tereny kopalniane nad Susquehanną, pływałem po Hudsonie do West Point, po Delawarze do Wilmington, po Potomahu do Mount Vernon. Poznałem trochę, choć b. niewiele urządzeń społecznych amerykańskich i przyjrzałem się życiu naszej Polonii.

Wydawać sąd o niej na zasadzie dotychczasowej obserwacji na pobrzeżu atlantyckim byłoby to zbyt pospiesznie i sąd musiałby być płytki. Zastrzegam się więc, że są to luźne uwagi, które po głębszem zbadaniu rzeczy ulegną może zmianie.

Emigracja składa się z dwóch grup: cieniutkiej warstewki inteligencji i zdrowej, tęgiej masy ludowej robotniczej. Nie wierzę zupełnie, żeby inteligencja przybywała tu dobrowolnie, rzucając powodzenie i zadowolenie w ojczyźnie. Nie, są to przeważnie rozbitki życiowe, których wytrącił z równowagi niepomyślny przebieg spraw życiowych. Najliczniejsza jest grupa rozbitków politycznych, których obficie dostarcza Królestwo i Litwa; sporo jest ludzi wykołajonych z powodów rodzinnych, ot jakieś rozbite gniazda domowe, jakieś tragedye przeżyte i cierpienia zawiedzionych i rozczarowanych serc; wreszcie są nawet i tacy, co się rozminęli z tym lub owym paragrafem kodeksu, takie różne młode chłopaki, co porobiły długie, miękkie nieodporne natury, które złe towarzystwo lub powikłanie spraw ściągało w błoto życiowe, aż do podrabiania podpisów rodzicielskich na dokumentach finansowych.

Wszystkie tego rodzaju jednostki nie mogą tu żyć normalnem życiem. Jest to gromada ludzi dobrych i przeważnie uczciwych.

Pomimo wszystkiego są to ludzie rozgoryczeni i rozżaleni, duchy rozbite, przed którymi wrota ojczyzny przeważnie są zatrzaśnięte, więc w tych warunkach ich serca zalewa gorycz i ból, a system nerwowy do głębi jest wstrząśnięty. Należy też wziąć pod uwagę, że są to przeważnie ludzie subtelni i wrażliwi, bo i ci, co rzucili się w politykę i partyjności, i ci, co tak żywo zareagowali na zdarzenia rodzinne, muszą to być natury nie gruboskórne, lecz właśnie wybitnie przeczulone. Nawet owe chłopaki, co jako 17 — 18 letnie indywidua robiły długie, a tutaj uspokoiły się, spoważniały i żyją uczciwie, to też przecież przeważnie słabe dusze, a ich ówczesne postępowanie było wynikiem tych lub owych wpływów i okoliczności.

Taka grupa ludzi, w życiu towarzyskiem b. miłych, w życiu narodowym odgrywa kierowniczą rolę, jako duchowi przywódcy emigracji; że jednak sami są duchami rozbitymi, że wstrząsa nimi żal i rozgoryczenie, więc może ten wpływ ich nie jest tak potężny, jakimby mógł być, gdyby sami kierownicy czuli się tego na duszy.

Co się jednak robi dobrego dla Polski tutaj, to się robi przez nich, bo sam lud, czując ich wyższość intelektualną, oddaje się pod ich wpływy i organizuje się za ich podniętą. A bierze to wszystko z całym tym chłopskim rozmachem, co to magierką przykrywa otwór lonto-

wy działa, a gdy mu dadzą karabin, to on w krytycznym momencie bierze w tęgie łapy lufę, a kolbą wali tak straszne ciosy i takie kręci młyńce, że to oddaj się Bogu.

Chcąc mieć pojęcie o ludzie polskim, jego zdolnościach i rozmachu, trzeba go widzieć tutaj, gdzie nie krępują go ustawy wyjątkowe, nadzwyczajne i jeszcze wzmocnione ochrony, gdzie nie nadeptuje mu na piętę żandarm pruski lub tajny agent ochrony.

Z tego zahukanego chłopca robi się tu wolny obywatel: wstępuje do stowarzyszeń i związków, urządza obchody i uroczystości. Na nich dowiaduje się rozmaitych i zupełnie nowych dla siebie rzeczy, staje się Polakiem. „Panie“, mówił mi górnik nad Susquehanną, „jak ja przyjechał do Ameryki, to ja nic o Polsce nie wiedział, tu dopiero się o Polsce dowiedział“. Naturalnie. Rodem jest on z pod Wysokiego Mazowieckiego, był parobkiem u gospodarza, czytać nie umie. No, proszę, kto mu co w owym kącie o Polsce mówił? Czy gospodarz, który sam nic niewie, czy ksiądz, który wie, że kazanie jest podsłuchiwane i denuncyowane, czy nauczyciel, gdyby on nawet chodził do szkoły, czy dziedzic; no kto jemu co miał powiedzieć o Polsce.

Mówię wam, że to do łez człowieka rozbiera, gdy słyszy ich mowy takie proste, a takie gorące, ich poglądy takie pełne miłości ziemi i takie pełne nadziei w lepsze jutro. A gdy inteligenci mówią o powikłaniach w polityce i poruszeniu spraw b. mądrze i srodze dyplomatycznie, to taki Marchewka czy Wilk powiada: „nic to ta nie będzie z tego, jak się samemu nie weźmie do roboty“.

Byłem na manewrach sokolskich noc i dzień cały. Wicher bestya wiał zimny. W lesie nad Delawarem rozpalono ogniska, ale i przy nich dobrze dzwoniliśmy zębami, a ta setka chłopaków w polowych mundurach płóciennych wszystkie ćwiczenia odbywała gładko i sprawnie. Aż huczały dalekim echem lasy nadrzeczne od strzałów rozgrywanej bitwy, a gdy się dowódca jednej partyi dał oskrzydlić i dostał się do niewoli, to aż zielony był ze wstydu, a wargi do krwi pokąsał z żalu. Cały dzień poprzedni byli w pracy, noc i dzień na manewrach, a potem jeszcze 9 mil angielskich przemaszerowali ze sztandarami i karabinami do miasta.

A byli to wszystko synowie ludu: jakiś Magdziak, Papiak, Balasa, Wilk, Marchewka, Brdoń, wszystko chłopskie syny. A przecież nie tak to dawno, jak ich dziadowie różni szlachtę galicyjską, a ich ojcowie z 1863 roku wydawali kozakom „Polaków“, kryjących się po gajach lub szuwarach.

Niewypowiedziana radość i błogość napienia duszę na widok tego ludu zdrowego, tęgiego na ciele i duchu. Jest on posłuszny pa-

rafii, ale nie bezkrytycznie; surowo sądzi postępowanie kierowników, a ci często tym bojownikom młodym i dzielnym prawią od socyalistów i innych masonów, więc się te młode dusze buntują i odstręczają, zyskując coraz więcej uświadomienia.

Siedząc tydzień w małym górniczym miasteczku, zapoznałem się z nimi serdecznie i blisko, a rwało mi się serce z radości, gdy idę ulicą, aż tu gdzieś z dachu przyjazny głos woła: „dzień dobry panu, panie Jankoski“; patrzę, a to cieśla, prezes sokołów. Innego dnia z furgonu rzeźniczego słyszę bardzo życzliwie: „uszanowanie panu Jankoskiemu“, „woźnica od rzeźnika — skarbnik towarzystwa śpiewaczego „Chopin“. Poszedłem do parku i beczałem jak bóbr z rozrzewnienia i umiłowania.

Mówią sokoły do mnie: „panby powinien zobaczyć nasze kopalnie“. „Naturalnie, ale nie mam takiego ubrania“. „To nie zmartwienie“. W pół godziny miałem całe ubranie: ten przyniósł kurtkę, ten spodnie, ten koszulę, ten kapelusz, a że kapelusz był za duży, więc cały „Dziennik Związkowy“ wsadziliśmy w niego i był, jak sokoły orzekły—All right!.. „Rano o szóstej po pana profesora przyjdziemy“.

Wstałem o 5, o 6 chłopcy przyszli, a jak oni się mną opiekowali przez cały dzień, jak znosili mi ten jabłka, ten ciastko, inny kawy lub wody. Jak byli troskliwi, aby mi się co nie stało. Słów nie mam na wyrażenie wdzięczności. Na drugi dzień gruby siwy sklepikarz zabrał mnie na wycieczkę w góry, bo chciał pokazać mi pamiątkowe urwiska skalne. Nasapał się, gałęzi nachwytał, cały był mokry, a prowadził mnie, żebym zobaczył zaiste czarujący widok. W niedzielę znów przedsiębiorca pogrzebowy zaprosił mnie na wycieczkę samochodową do wodospadów. Woził mnie parę godzin, pokazując piękną okolicę. Niestychanie dużo doznawałem uprzejmości i życzliwości od ludu naszego.

Z ludem też i misya odczytowa szła o wiele sprawniej niż z inteligencją. Inteligencja zawsze ma 101 przyczyn i trudności, że się nie może odczyt odbyć. We Frankfordzie krawiec zorganizował 5 odczytów, w Wilmingtonie stolarz dwa, w Nicetown piekarz, w Reading zecer, w Nanticohe lakiernik, w Harrison garbarz szach, mach w parę dni każdy skrzyknął po paręset ludzi i — All right!

W N. Yorku inteligencja mówi: „tu widzi pan miejsce jest nieodpowiednie, Polonia rozrzucona, ale w Filadelfii, tam to będzie powodzenie“. W Filadelfii mówią mi: „Tu widzi pan nie jest tak dobrze, jak w N. Yorku, ale gdy pan pojedzie do Buffalo, tam to będzie powodzenie“, a ja już mam w kieszeni list z Buffalo, „że odczyty się nie dadzą tu urządzić, ale za to w Chicago!“ i t. d.

A te robociarze jak się rzuca, to i sala jest i latarnia gotowa i narodu kuśa i serdeczne wyrazy wdzięczności. Ogółem dotychczas wygłosiłem 20 razy odczyt, mając w ogólnej sumie słuchaczy 9906, czyli prawie 10,000. Jest to sukces niewątpliwie dobry, i w kraju nie wiem, czy w ciągu całego roku miałbym tylu słuchaczy. Toż mówiłem w Kaliszu, mając na sali 18 osób, z czego 12 moich bliskich znajomych, którym wprost nie wypadało nie być na odczycie znajomego.

Jedna rzecz mnie zastrasza, że tak się bardzo zwleka moja droga. Sądziłem, że w listopadzie będę już w Chicago, a tu styczeń za pasem, a ja jeszcze nad Atlantykiem. Stąd też być może, że mój pobyt za krajem przeciągnie się dłużej, niż zamierzałem. Nie wiem jeszcze napewno, ale kto wie, czy tak prędko zobaczę Wisłę i moje drogie miasto rodzinne.

Tymczasem cieszę się tylko tą rzeką ludu polskiego i z jego serc buduję w myśli baszty obronne stołecznego grodu Polski Ludowej.



Listy do Redakcyi.

Pieśń ukraińska, przytoczona w № 51 „Ziemi“ z r. 1913 przez p. J. Siemiradzkiego, znajduje się niewątpliwie w odpowiednich zbiorach pieśni. Mnie zdarzyło się ją słyszeć po raz pierwszy około r. 1870, śpiewaną w kole domowym przez duet nielada jaki: Leonarda Sowińskiego, poetę, urodzonego i wychowanego na południu dawnej Rzeczypospolitej, oraz Aleksandra Jabłonowskiego, który, choć urodzony na Mazowszu, w ziemi Czerskiej, sporo lat spędził na Ukrainie i dziejom Rusi pracę swego życia poświęcił.

Widziałem ją wydrukowaną w tekście powieści wymienionego wyżej Sowińskiego „Przygody Chorążycy“ (w r. 1886-7 w jednym z dzienników warszawskich i w r. 1904 w osobnej książce).

Pieśń o Sahajdacznym nie jest pieśnią czumacką, lecz kozacką, siczową. Pieśni czumackie, pomiędzy którymi charakterystyczna i bardzo popularna jest: „Hej, czumacze, czumacze, twoje żytje sobacze“, wyszły w r. 1874 w zbiorze Rudczenki.

Nakoniec dodamy, że opiewanym w tej pieśni jest hetman kozaczyzny polskiej, Piotr Konaszewicz z przydomkiem „Sahajdaczny“, bohater kozacki z pierwszej ćwierci XVII w. Wspomina o nim Wacław Potocki w „Wojnie chocimskiej“ i Bohdan Zaleski w dumce „Czajki“.

L. Korotyński.

oooooooo

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W niedzielę d. 14 grudnia r. b. odbyło się miesięczne zebranie Oddziału Łódzkiego P. T. K. Zebranie otworzył prezes oddziału p. Adamowicz. Porządek dzienny wypełniły: 1) odczytanie protokołu poprzedniego zebrania; 2) odczytanie protokołu uchwał, powziętych przez ostatni zjazd delegatów łącznie z Zarządem Centrali; 3) zapoznanie zebranych z wypracowanym programem czytań krajoznawczych, jaki ma być przedstawiony do zatwierdzenia władzom, i nakoniec 4) sprawy bieżące.

Na zakończenie zebrania p. Konrad Fiedler, członek-sekretarz Zarządu Oddziału wygłosił odczyt p. t. Kazimierz (nad Wisłą), Janowiec, Bochońnica, ilustrowany licznymi przezroczami.

„Jak roślina najpiękniej rozwija swoje listowie i kwieciami najbujniej porasta, kiedy ze swojej gleby soki odżywcze czerpie, tak i człowieka umysł i serce najczulej przychylić się rade ku łanów ojczyznych szumiącemu morzu“.

Przyjąwszy za motto swego odczytu powyższe słowa, prelegent wyprowadził licznymi zebranych słuchaczy z zadytmionej Łodzi do najpiękniejszego skrawka wybrzeża Wisły, — tej rzekom polskim matki i królowej, — aby im pokazać starych zamczysk Kazimierza, Bochońnicy, Janowca ruiny, przy-

pomnieć tych zamczysk dzieje, i zmęczonej myśli, znużonemu oku dać chwilę odpoczynku, odrywając je od codziennej szarżyny.

Wyruszymy z Pulaw, siedziby ks. Czartoryskich, szosą królewską i przez Bochońnicę zdążamy do Kazimierza, sławnego ongi portu zbożowego. Przenosimy się myślą w te odległe czasy, kiedy Kazimierz doszedł do szczytu potęgi i rozkwitu za ostatnich Jagiellonów i pierwszych Wazów — Zygmunta III i Władysława IV. Podziwiamy pozostałe z tych czasów najpiękniejsze budowle, jak kościół farny, domy patrycyuszów, klasztor oo. reformatów i śpichrze zbożowe, których szczątki wyraźnie wykazują nam dawną miasta świetność i zamobność.

Mówiąc o dawnej świetności miasta i jego upadku pod ciosami późniejszych niepowodzeń i nieszczęść kraju, prelegent nie pominął sposobności, by nie podkreślić tego ruchu, jaki tu powstał w ostatnich czasach za sprawą „Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza“, — ruchu, skierowanego ka wyrwanu z rąk niepowołanych co piękniejszych zabytków architektonicznych Kazimierza, jak również ku temu, aby uczynić z tego miasta już nie środowisko handlu, jak to było ongi, ale uczynić z tego hojnie wyposażonego przez naturę miejsca coś w rodzaju letniska i stacji klimatycznej.

Poza basztą — na szczycie wzgórza, pośród bardzo ładnych ogródków stanęło już kilkanaście bardzo schludnych domków i wytworniejszych willi, które są jakby zaczątkiem Kazimierza — letniska.

W tym właśnie kierunku winna być zwrócona energia i dobra wola oraz poparcie materyalne ludzi, dbających o rozwój tej historycznej miejscowości, która posiada wprost wymarzone warunki na letnisko: wzgórze, jary, wąwozy, lasy, a przede wszystkim cudną rzekę, podnoszącą urok przez naturę darowany.

Z Kazimierza przenosimy się wzrokiem na drugi brzeg Wisły do Janowca dla obejrzenia ruin i resztek dawnej świetności domu Firlejów, którzy dzięki swoim osobistym zaletom obywatelskim, dzięki koligacyom, a głównie może poparciu Bony, poczesne śród magnatów — królewiatek polskich zajęli miejsce.

Pamiętki po dawnym Janowcu pozostały tylko w kościele i w ruinach zamku, niegdyś potężnego, dzisiaj już słabe dającego pojęcie o minionej świetności.

Wojny, pożogi, ząb czasu, a głównie opieka okolicznych mieszkańców, korzystających z materyalu budulcowego, skutecznie przyczyniły się do zrujnowania tego zamczyska.

Pod tym zamkiem odbył się akt pojednania, a raczej nie pojednania, jeno upokorzenia się przed królem Mikołaja Zabrzydowskiego.

Odczyt wypowiedziany był z uczuciem ciepła serdecznego, w którym brzmiała nuta swojska i rodzima, odbijająca od środowiska, poświęconego ołtarzom Merkurego i Złotego Cielca. Na kanwie odczytu widoczną była nieć poczucia piękna, poczucia obowiązków łączności z dziejami kraju ojczystego, łączności z jego „swoistą i w różnorodność bogatą i urokami swojemi nęcącą przyrodą“.

oooooooo

Z piśmiennictwa.

Świeżo ukazał się czwarty tom „Ekonomisty” za ostatni kwartał roku ubiegłego, w zwiększonej objętości, obejmujący 254 stron druku. Na wstępie znajdujemy studium teoretyczne o „istocie, zasadach i znaczeniu kooperacji spożywczej”, opracowane przez d-ra Edwarda Strasburgera. Z aktualną sprawą „unormowania wynagrodzenia za usunięcie służebności włościańskich” zaznajamia nas p. Henryk Wiercieński, wyczerpujące studium statystyczne o „udziale wytwórców drobnych w ruchu spółkowym” z szeregiem tablic statystycznych podaje pan Cezary Łagiewski. Doniosłą sprawę „organizacji finansowej ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków” referuje p. Stanisław Kohn. Sprawę „ruchu wychodźczego z Lubelskiego” bada na miejscu i opisuje sposobem monograficznym p. Czesław Rokicki. Polemikę w sprawie „nauki o podmiocie gospodarstwa społecznego” prowadzą pp. prof. A. Krzyżanowski i R. Rybarski. Bogatą treść kroniki wypełniają: zestawienia o przemyśle cementowym i żelaznym w Królestwie Polskim, opracowane przez Emila Casparego, sprawa rozwoju spółek polskich w zaborze pruskim—przez p. C. Łagiewskiego, projekt budżetu rosyjskiego na rok 1914 — przez p. K. Kasperskiego i sprawa wewnętrznego handlu zbożem przez St. Rosińskiego. „Z żalobnej karty” wspomnienia o ś. p. Augustie Raubalu kreśli p. C. Łagiewski. W osobnym dziale „rozbiórów i sprawozdań” przy współpracownictwie p.: Emila Casparego, Stanisława Posnera, dr. Jana Rutkowskiego, S. Horzelskiej i innych zamieszczone zostały oceny prac: dr. J. Wolffa, dr. Kazimierza Tymienieckiego, Romana Grodeckiego, dr. Tadeusza Pilata, dr. H. Diamanda, Edwarda Grabowskiego, dr. Edwarda Grabowskiego, dr. Edwarda Taylora, J. Adamowicza i t. d. Wykaz najświeższej bibliografii zamyka treść obszernego tomu.

oooooooo

Nowe książki.

Prof. J. Talko-Hryniewicz. Człowiek na ziemiach naszych. Warszawa 1913. Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Jest to pierwsza książka w języku polskim, poświęcona antropologii ziem polskich, skreślona w formie popularnej z przeznaczeniem dla „szerszych kół czytelników”.

Przystępując do pracy tej, autor całkowicie zdawał sobie sprawy z trudności podjętego zadania: przedstawić historię naturalną człowieka od pierwszego pojawienia się na ziemiach naszych i nawiązać nici, łączące go z następnymi pokoleniami w długim okresie wieków aż do czasów nam współczesnych. Podkreśla on na wstępie, że nauka o człowieku, najmłodsza ze wszystkich gałęzi przyrodzności, nie zdołała nagromadzić dostatecznej

ilości materiałów i uporządkować je, oraz sam przyznaje, że skreślony w książce tej obraz wykazuje wiele luk i nie jest całkowicie zakończony. Ze względu na niedość do zrozumienia prac antropologicznych przygotowanych czytelników szereg kwestyi spornych, będących niekiedy przedmiotem polemik naukowych, został tu pominięty całkowicie.

Na zarzut, że być może podjęte zostało przedwcześnie wydanie takiej książki popularnej wobec niedość wykończonego przedmiotu, autor odpowiada, że zbyt długo prawdopodobnie wypaloby czekać na rozstrzygnięcie licznych wątpliwości.

Rozpatrując człowieka jako odrębny gatunek, szerząc jego odmiany rasowe, autor opiera się głównie na cechach fizycznych, popartych liczbami, jako cennymi dokumentami, wyrażającymi przeszłość i teraźniejszość człowieka.

W pierwszym rozdziale autor zaznajamia czytelników ogólnie z przedmiotem antropologii, w dalszych zaś omawia w porządku mniej więcej chronologicznym kulturę i fizyczną budowę ludów na ziemi naszej zamieszkałych.

Na całość składają się następujące rozdziały: 1. Nauka o człowieku. 2. Pierwsze ślady człowieka u nas; człowiek paleolityczny. 3. Ludy starożytne. 4. Słowianie dawni. 5. Słowianie współcześni. 7. Materyalna i duchowa kultura Słowian współczesnych.

Witając z radością to cenne wydawnictwo, ukażujące się w szacie bardzo starannej i nawet wykwintnej — co zaszczyt przynosi wydawcy — nie możemy jednak powstrzymać się od wyrażenia obaw, że podany w książce tej materiał tam właśnie, gdzie ujęty został w pewną syntezę i ustawiony porównawczo, stać się może powodem grubych nieporozumień i najfalszywszych wniosków, szczególnie ze strony osób nie wtajemniczonych w metodę i zakres uogólnień naukowych.

Mam tu na myśli tablicę, podaną na stronie 108, a zawierającą zestawienie głównych cech fizycznych ludów ziem naszych.

Z tablicy tej czytelnik dowiaduje się, że Polaków podzielić można na: 1) Polaków północnych (Królestwa Polskiego) i 2) Polaków południowych (zamieszkujących Galicyę) — pierwsi z nich wzrost mają mierny, drudzy wzrost niższy, skąd gotowy wniosek: granica polityczna jest granicą naturalną, uzasadnioną przez oficjalną antropologię — przynajmniej, o ile dotyczy granicy, dzielącej Królestwo Polskie od Galicyi. Czyż należy przez niedość jasne zestawianie niekompletnych materiałów naukowych ułatwiać wyprowadzanie takich z gruntu fałszywych wniosków?

Klasyfikacja Rusinów, wyodrębniająca z pośród Poleszuków, Ukraińców, Podolan — typ specjalny Rusinów galicyjskich — grzeszy tą samą nieostrością; wogóle wszelkie klasyfikacje zjawisk naturalnych, przytrzymujące się cesarsko-królewskich granic z natury rzeczy muszą być przyjmowane z największymi zastrzeżeniami i uzasadnioną nieufnością.

Co do fotograficznych ilustracji typów, to aczkolwiek autor oświadcza, że „mogą być one wykonane poprawnie jedynie przez samych antropologów, wobec czego zdobycie takich fotografii jest rzeczą

nielatwą — i tem należy tłumaczyć w książce niniejszej brak wielu typów z różnych dzielnic Polski", to jednak podkreślić należy, że podanie w książce takiej szeregu typów rusińskich, litewskich, żydowskich, z polskich zaś — jedynie góralskich i podhalańskich jest brakiem wydawniczym zbyt rażącym, żeby można go było pominąć milczeniem. Jest wprawdzie jedna tablica z typami polskimi z podpisem: wieśniacy z Łowickiego — autentyczność jednak typów tych może być z łatwością zakwestyonowana, gdyż niczem nie przypominają one naszych księżaków — ani z odzieży, ani z obuwia, ani ze sposobu noszenia się. Żałować należy, że autor nie skorzystał z bogatych zbiorów etnograficznych Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które najchętniej ilustracyi swych udziela nawet wydawnictwom cudzoziemskim (angielskim, francuskim i amerykańskim) i niewątpliwie oddałoby do wyboru cały swój materiał szanownemu profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego (aczkolwiek nie przez samych antropologów zgromadzony).

K. K-ć.

Biskupstwo wileńskie od jego zał. żenia aż do dni obecnych, dzieło zawierające dzieje i prace biskupów i duchowieństwa dyecezyi wileńskiej, oraz wykaz kościołów, klasztorów, szkół i zakładów dobroczynnych i społecznych. Opracował ks. Jan Kurczewski. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wilno 1912, str. 614.

Obszerna praca ks. Jana Kurczewskiego zawiera, oprócz części historycznej, obszerny opis dyecezyi, obejmującej obecnie dwie gubernie: wileńską i grodzieńską. Opis ten stanowi cenne zbogacenie naszej literatury krajoznawczej. Podane tu zostały w kolejnym wykazie wszystkie miejscowości na obszarze tych dwóch gubernii, które posiadają lub posiadały kościoły i kaplice katolickie, przy każdej zaś z nich zamieszczona została zwięzła wiadomość o dacie założenia świątyni oraz o przeszłości i stanie obecnym parafii. Wykaz ten jest tem bardziej interesujący, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia niemal połowa parafii w obrębie dyecezyi wileńskiej pozyskała nowe kościoły, nadto zaś przywrócono w tym czasie niemało parafii, skasowanych przeważnie w okresie od 1864 do 1866 r. Wobec tych zmian wydawnictwa dawniejsze, jak „Starożytna Polska“ Balińskiego i Lipińskiego, a nawet znacznie później opracowany wielki „Słownik Geograficzny“ tracą w znacznym stopniu swoje znaczenie informacyjne, tem bardziej zaś stają się potrzebne książki, dające dokładne wyobrażenie o współczesnym stanie danych okolic i części kraju. Autor pracy o „Biskupstwie Wileńskim“ doprowadza dane swoje do r. 1912. Zaznaczyć jednak i podkreślić jak najsilniej należy, iż ks. Kurczewski stara się równocześnie wyzyskać możliwie najobszerniej obfity materiał do dziejów dyecezyi, przechowywany w aktach kapituły i konsystorza wileńskiego. Oprócz ogólnych dziejów dyecezyi i życiorysów wszystkich jej biskupów i sufraganów, znajdujemy też tu między innymi rozdziały następujące: zakony i klasztory, kolegia i rezydencje zakonne w dyecezyi wileńskiej, szkoły i szkółki parafialne w dyecezyi, fundusze i kursy na kształcenie ubogiej młodzieży, biblioteki, seminaria dyecezalne, szpitale i przytulki

w Wilnie i w obrębie dyecezyi, wykaz cerkwi unickich w dyecezyi w XVIII wieku i win. O ile nie podobna powstrzymać się od zastrzeżeń co do podanej w książce charakterystyki niektórych biskupów (np. biskupa Massalskiego), o tyle działy ściśle opisowe uznać należy za opracowane z wielką starannością i znajomością rzeczy. Dołączone na końcu obszernie wykazy osób i miejscowości, wspomnianych w omawianej pracy, stanowią konieczne i cenne jej uzupełnienie.

E. M.

J. Kostrzewski. Wielkopolska w czasach przedhistorycznych, z 557 rycinami w tekście i 3 tablicami. I oznań 1913, nakładem księgarni M. Niemierkiewicza. Warszawa, Wende i Spółka. Stron XI i 220.

Prawdziwą usługę oddał naszej publiczności czytającej i doskonale wybró zrobił wydawca „Biblioteki Wielkopolskiej“, powierzając napisanie II i III tomu wydawnictwa młodemu archeologowi, Józetowi Kostrzewskiemu. Choć młody, jest on jednakże już znany w literaturze polskiej i niemieckiej, jako autor dobrych rozpraw z dziedziny przedhistorycznej, a obecnie oddał poważną i obszerną pracę z tej samej dziedziny jako rozprawę doktorską w Berlinie.

Wielkopolska słynie — od czasów Długosza — jako kraina wykopalisk. Mnóstwo ich po domach prywatnych, a oba muzea poznańskie: polskie, imienia Mielżyńskich, i prowincyalne, cesarza Fryderyka, obfitują wokazy liczne i piękne, dobrze wprowadzie poustawiane, lecz dla szerszej publiczności nie budzące zajęcia, bo niezrozumiałe bez pomocy odpowiedniego przewodnika, któryby ich znacznie wytłumaczył. Przygotował się pan J. Kostrzewski do spełnienia tego zadania odpowiednio, najprzód studjami przyrodniczymi, a następnie archeologicznymi a także i podrózami w celu lepszego poznania zabytków oraz metod rozpoznawania ich cech chronologicznych, wreszcie pracując w Muzeum ludoznawczem (Museum für Völkerkunde) berlińskim, już nie jako zwiedzacz dyletant, ale jako nieetatowy urzędnik. Mianowicie wykopaliska między Odrą a Wisłą są jego specjalnością. Odkopywał ich sam nie mało i ma własny, doświadczeniem zdobyty już sąd o ich znaczeniu i determinacyi chronologicznej.

To też praca jego niniejsza jest w rzeczywistości pierwszą w języku polskim próbą syntetycznego ujęcia całokształtu dziejów przedhistorycznych większego obszaru ziem polskich — i to próbą udaną zupełnie, tak, że nam mogą tego pozazdrościć inne dzielnice polskie, mające i własne najwyższe uczelnie polskie i także instytucje rozporządzające kapitałami na publikacje naukowe.

Obecnie, z pomocą niniejszej książeczki, każdy, interesujący się przeszłością naszej ziemi i tem, co ciągle z niej się wykopuje, a co oznaczać jest nie łatwym zadaniem, może z przyjemnością i korzyścią zwiedzać oba muzea poznańskie, w których znajduje oryginalny 557 rycin zabytków, objaśnionych w tekście oraz w osobnym wykazie miejscowości wielkopolskich, z których pochodzą okazy wyobrażone w rycinach. Przyda mu się do tego prócz tekstu 389 przypisków, odnoszących się do litera-

tury dotychczasowej i spis miejscowości, skąd te zabytki pochodzą.

Archeologia przedhistoryczna dla okresów najdawniejszych posługuje się pomocą paleontologii, a więc geologii; dla późniejszych zaś — porównywaniem z okazami kultur krajów sąsiednich, już lepiej i dawniej zbadanych.

Ziemia nasza jest niewyczerpanym archiwum dla badaczy, a prehistoryk jest archiwistą, oznaczającym epokę, z której zabytki pochodzą, nieraz i miejsce ich pochodzenia, o ile były sprowadzone lub naśladowane według obcych wzorów, oraz znaczenie tych zabytków, a więc ich użytek, rozpowszechnienie lub rzadkość w danej okolicy.

W tekście na 220 stronach jest streszczone to, co wiemy i co posiadamy z pojedynczych epok i podokresów po kolei. Z t. zw. paleolitu, t. j. wczesnego okresu epoki kamiennej nie mamy dotąd żadnego dowodu siedzib ludzkich w naszym kraju. Dwa okrzeski znalezione w żwirowisku Szeląga i inne wątpliwe okazy z Obornickiego mogłyby świadczyć tylko, że człowiek się chyba przygodnie jako łowca za grubą zwierzyną, zapuszczał w północne strony, póki lodowcami już się cofającymi były jeszcze pokryte.

Z następnego okresu epoki kamiennej (mezolitu) znajdujemy w książce tej szereg rycin okazów, dowodzących siedzibowania ludzi w naszych stronach. Choć są one całkiem podobne do okazów gdzieindziej do niezawodnie mezolityczne zaliczanych, nie jest rzeczą dowiedzioną, czy ich raczej u nas do neolitu nie wypada zaliczać pod względem chronologicznym. Bogactwo ilościowe i jakościowe zabytków neolitycznych u nas jest zadziwiające. Pod sam koniec epoki kamiennej widać jednak obok gładzonych młotów i siekier, tak, co już są metalowe; ale to jeszcze nie bronz, stop miedzi z cyną, ale czysta prawie miedź. Do tego miedzianego podokresu odnoszą się i narzędzia obronne kamienne, kształtem swym przypominające wzory obcego pochodzenia, z miedzi zrobione.

Bronzową epokę omawia autor w 5 rozdziałach według okresów przyjętych w archeologii przedhistorycznej gdzieindziej. Ciekawy jest fakt, że już w II z nich występuje u nas ceramika, zwana powszechnie „łużycką“, którą się autor szczególnie zajął i nad którą się rozwodzi w następnych rozdziałach, poświęconych okresowi jej rozkwitu, a więc pierwszemu epoki żelaznej, t. zw. halsztackiemu,

i okresowi jej upadku, czyli lateńskiemu albo przedrzymskiemu. Oba te okresy razem obejmują u nas czas od roku 700 przed Chr. do narodzenia Pańskiego. Następne dwa odpowiadają wpływowi kulturalnemu cesarstwa rzymskiego — aż do roku 400 po Chr. W późniejszym rzymskim okresie pojawiać się u nas zaczynają po raz drugi kurhany, a już przedtem groby szkieletowe, dowodzące najazdu Gotów. W ślad za tymi ludami północy zaczyna się w epoce wędrówki ludów pojawiać kultura o odmiennym charakterze, której niemieccy archeolodzy dają miano słowiańskiej albo „grodziskowej“ od postaci wałów obronnych, które pozostawiła. Autor wyraża przytem własne przekonanie, że Słowianie już przedtem byli w Wielkopolsce krajowcami i zostali w niej podbici, a jako dowód tego twierdzenia przytacza cały szereg okazów, świadczących o przechowaniu się t. zw. grodziskowym okresie pierwiastków kultury łużyckiej w ceramice pomimo wpływu przechodniego najeźdźców północnych.

Ch.

Edward Maliszewski—Albunia Warszawa nakładem księgarń W. Jakowickiego 1912 z ilustracyami i mapką str. 64.

W chwili najwyższego napięcia uwagi, skierowanej na burzliwe wypadki, z których się wylania najmłodsze z państw europejskich, wypuściła ruchliwa firma wydawnicza dziełko p. Maliszewskiego, informujące szerszą publiczność o tem, ...kim właściwie są Albańczycy i czem być może ich państwo. Potrzeba takich opracowań ułatwiających inteligentniejszemu czytelnikowi orientowania się w zwiłkanych perypetyach wypadków dziejowych jest aż nadto widoczna; brak ich u nas, brak niemal doścześnie aż nadto dotkliwy. To też każdą nową próbę witać trzeba z uznaniem, zwłaszcza gdy jest jak ta owocem rzetelnej sumienności i daje czytelnikowi to, co mu jest istotnie potrzebne, gdy poza tem jest skreślona inteligentnie, jasno i językiem zupełnie poprawnym. Pomimo niewielkich rozmiarów broszurki znajdujemy w niej istotnie wszystko, co znaleźć powinniśmy, dowiadując się o położeniu geograficznym, granicach, rozległości, składzie i pochodzeniu ludności; całości dopełnia opis ważniejszych miast albańskich i treściwe a tak niezwykle dzieje narodu, które autor zamyka godną podkreślenia i pamięci uwagą: „w życiu narodów niema tak ciężkich warunków, z których niepodobnaby się już było wydobyć“.

T-1.

TREŚĆ: *Franciszek Chtapowski* — Osobliwości przyrody poznańskiej (z 3 ryc.). *Włodzimierz Antoniewicz* — Stary Zagórz (z 2 ryc.). *W. Piotrowski* — Obchód Trzech Króli na Ukrainie. *Franciszek Gawełek* — Podhorce (z 3 ryc.). *Aleksander Janowski* — Listy z podróży naokoło świata. — Listy do Redakcyi. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa. — Nowe książki. — Wkładka: Sala w Podhorcach.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.



Ze zbiorów Polsk. Towarz. Krajozn.

Tum ptocki.

